

NATO, jak długo?

Odkąd przystąpienie Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku utorowało drogę do nieustannego rozszerzania Unii Europejskiej, trudno jest wykryć u niej jakąś godną tej nazwy politykę zagraniczną. Niekiedy więcej znaczy mniej – wieloznaczny kompromis, a nie afirmację, niemoc, a nie moc. Dziś do Unii należy większość państw, które brały udział w imperialnych awanturach Stanów Zjednoczonych (16 spośród państw członkowskich uczestniczyło w wojnie w Iraku); Unia podpira ingerencję północnoamerykańską w Ameryce Łacińskiej (stąd absurdalne uznanie opozycji wenezuelskiej za legalny rząd); finguje sprzeciw wobec kaprysów administracji Donalda Trumpa, lecz staje posłusznie w szeregu, kiedy ta grozi, że ją ukaże (sankcje gospodarcze wobec firm handlujących z Iranem). Europa, zanim się rozszerzyła, bardzo liczyła się na Bliskim Wschodzie. O ile Charles de Gaulle był przeciwny przyjęciu Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku, gdyż uważał, że państwo to stanie się koniem trojańskim USA w Europie kontynentalnej, o tyle po Brexicie Stany Zjednoczone nie muszą już niczego się obawiać, gdyż w ciągu dziesięcioleci Unia Europejska stała się ich stajnią.

Dominacja amerykańska jest jeszcze bardziej upokarzająca w sprawach obrony. Utworzona podczas zimnej wojny Organizacja Paktu Północnoatlantyckiego (NATO) jest narzędziem tej dominacji. Poręka amerykańska wystarcza, aby jedno państwo członkowskie NATO skolonizowało inne (od 45 lat Turcja okupuje część Cypru) lub potraktowało jednego ze swoich sąsiadów jako własną „strefę bezpieczeństwa” – druga co do wielkości w NATO armia turecka najechała właśnie północną Syrię, aby zlikwidować autonomię kurdyjską. Władze amerykańskie nie mają nic przeciwko, dopóki reżim Recepa Tayyipa Erdoğan nadzoruje jedną z granic morskich Rosji, kupuje 60% broni w USA i przechowuje u siebie amerykańskie głowice jądrowe. Mało obchodzi to również Jensa Stoltenberga, sekretarza generalnego NATO – amerykańską marionetkę obdarzoną wymownym przezwiskiem „norweskiego Tony Blaira” – ponieważ jego zdaniem Turcja „działa z umiarem i w koordynacji z innymi sojusznikami, aby zachować nasze zdobycze w obliczu naszego wspólnego wroga, Daesz”.

Państwa należące do NATO, napadając w 2003 r. pod fałszywym pretekstem na Irak, spowodowały na Bliskim Wschodzie obecny chaos. Z ich poparciem i udziałem Stany Zjednoczone wywołały wojnę w Libii, a następnie, tym razem

same, zerwały porozumienie w sprawach jądrowych z Iranem, zawarte w lipcu 2014 r. (a jego zawarcie było w bieżącym dziesięcioleciu jednym z rzadkich momentów mądrości w ich polityce zagranicznej). W październiku br., kiedy amerykański prezydent wydawał Kurdów syryjskich na łaskę armii tureckiej nie konsultując swoich obecnych na miejscu „sojuszników” europejskich z NATO, wysłał tweet, w którym z podziwu godną szczerością napisał: „*I hope they all do great, we are 7,000 miles away!*”, mam nadzieję, że oni wszyscy sobie poradzą - my jesteśmy 7 tys. mil dalej.

Bycie nadal wasalem kapryśnego i nieobliczalnego pana i władcy, który kieruje się wyłącznie własnym interesem, oznacza uznanie, że ostatecznie stoczyliśmy się do rangi protektoratu. Aby Europa wyszła z tego, trzeba, aby wyszła z NATO [\[1\]](#).

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[ps2id id='159-6-1' target='"/][1] Zob. R. Debray, „La France doit quitter l’OTAN”, *Le Monde diplomatique*, marzec 2013 r.